

Minął rok od przełomowej uchwały Sądu Najwyższego. Zamiast uporządkowania sprawy stosowania kodeksu pracy i Karty Nauczyciela w odniesieniu do wynagradzania nauczycieli, wciąż panuje chaos. Negocjacje trwają, ale jedno się w nich nie zmienia - to samorządy ciągle są tymi złymi. Z wypowiedzi minister Barbary Nowackiej można odnieść wrażenie, że organizacje samorządowe (w tym ZPP) szukają sposobu, aby nie płacić nauczycielom tyle, na ile zasługują. Samorządy odpowiadają krótko - dodatkowe koszty są dziś niepoliczalne, a propozycje MEN - absurdalne. Rodzi to pytanie - gdzie leży prawda? Czy - idąc za często powtarzаныmi hasłami - leży pośrodku?

Ustawa przeciw ustawie - czyli o genezie sporu

26 lutego 2025 roku to dzień, który po okresie względnego spokoju przyniósł prawdziwą rewolucję w relacjach na linii nauczyciele-samorządy. Przed uchwałą SN nikt nie miał wątpliwości, że część zasad pracy nauczycieli reguluje kodeks pracy, a część - Karta Nauczyciela. Wyjęcie poza kodeks zagadnień stosunku pracy niektórych grup zawodowych sugerowało istnienie odpowiedniego powodu. I nie była nim chęć szkolenia.

Wyodrębnienie przepisów obejmujących kwestię godzin ponadwymiarowych w Karcie Nauczyciela przez lata nie budziło większych kontrowersji. Nikt przecież nie postulował, aby godzina lekcyjna trwała 8 godzin, a opieka nad uczniami podczas wycieczek kończyła się w połowie. Choć "pensum" bywało definiowane metodą "pomieszczenia z poplątaniem", panował względny konsensus - na razie Karta Nauczyciela nam wystarczy. Owo "na razie" już minęło.

Po tym, jak uchwała SN rzuciła nowe światło na wszystkie dotychczasowe definicje pracy "po godzinach", przedstawiciele różnych środowisk związanych z edukacją rzucili się do kontrataku. Już po miesiącu Ministerstwo Edukacji Narodowej przygotowało duży pakiet zmian legislacyjnych obejmujących Kartę Nauczyciela. Proponowane rozwiązania przyprawiły samorządowców o zawrót głowy konstrukcją niektórych przepisów. Wynikało z nich chociażby to, że przydzielone godziny indywidualnego nauczania miałyby być wynagradzane jak godziny ponadwymiarowe nawet w przypadku ich niezrealizowania. Mówiąc po ludzku - samorządy miały płacić za tę samą pracę dwa, a jeśli będzie trzeba - trzy razy. W ramach godzin ponadwymiarowych, w ramach czasu pracy, być może też w ramach dodatków. Co z tego wynikło? Rok temu wszyscy stanęli przed realnym ryzykiem końca wycieczek szkolnych. Nie dlatego, że wyszły z mody. Powodem był pomysł, by każdą godzinę takiego wyjazdu traktować jako nadgodziny. Matematyka zna takie rozwiązanie. Budżety już nie. Rezygnacja z wyjazdów wydawała się naturalnym źródłem oszczędności (w samorządowej oświacie oszczędności podobno istnieją, tyle że nikt ich nie widział).

Te niedobre samorządy...

Powiedzenie "wilk syty i owca cała" w kontekście trwających rozmów narzuca się na myśl jako pierwsze. Sęk w tym, że każdy widzi się w innej roli.

Samorządy przyzwyczyły się już do uszczypliwych uwag i zarzutów złej woli wobec nauczycieli. 50 mld zł luki oświatowej nie wzięło się z błędów samorządów. A jednak to ich przedstawia się w roli winnych wciąż niewystarczająco wysokim zarobkom nauczycieli. Takiej dezaprobaty brakuje natomiast wtedy, gdy legislatorzy w ocenach skutków regulacji lekceważą skutki finansowe proponowanych zmian po stronie samorządów. Bezkrytycznie - przynajmniej nieoficjalnie - głosi się też, że skoro samorządy protestują, to znaczy że pozostali przedstawiciele środowiska oświatowego są na dobrej drodze.

W marcu br. po ukończeniu prac, których czas trwania sugerował co najmniej tworzenie nowej Konstytucji, wyniki zaprezentowano stronie samorządowej. Ta natomiast, bez zbędnego przewlekania sprawy, zaproponowała swoje propozycje. Dla pogodzenia różnych interesów zaproponowano konkret - 12-miesięczne okresy rozliczeniowe, które pozwalają realnie ocenić nakład pracy nauczyciela, którego obowiązki zawodowe nie rozkładają się równomiernie na przestrzeni całego roku. Do tego stosowanie zadaniowego czasu pracy, który - wbrew pozorom - nie jest "wolną amerykanką", lecz narzędziem porządkującym obowiązki. Kwestię wycieczek szkolnych samorzady postanowiły rozwiązać, podsuwając gotowe rozwiązanie. Unijne. Sprawdzone. Dyrektywę 2003/88/WE pozwalającą na częściowe ograniczenie wymogów dobowego odpoczynku dla potrzeb zapewniania bezpieczeństwa innym. Nie wiedzieć czemu, Ministerstwo przemilczało jej istnienie. Jakby jej nie było.

Głos samorządów głosem wołającego na pustyni

W zamian słyszymy kolejne frazesy o "złych" samorządach, które nie uznają wielokrotnie wspomnianego "prestżu zawodu nauczyciela". Pojawiają się także kuriozalne uzasadnienia dla jeszcze bardziej kuriozalnych rozwiązań. Każde z nich mogłoby doczekać się osobnego felietonu, toteż wystarczy wspomnieć o propozycji dotyczącej wycieczek. Realizacja postulatów MEN i lobbujących za nimi środowisk doprowadziłaby do... potrójnego wynagradzania nauczycieli opiekujących się uczniami - do płacenia za podstawowy wymiar czasu pracy i godziny ponadwymiarowe dołączyłby bowiem także specjalny dodatek, którego zwolenniczką jest minister Nowacka... Nie nam oceniać, czy wyjazdy na wycieczki szkolne są dla nauczycieli tak wielką karą i dolegliwością, dla której zrekompensowania potrzeba aż tylu nakładów. Możemy natomiast ocenić nastawienie kierownictwa MEN wobec samorządów. A to zdecydowanie nie jest przychylne.

Rosną obawy o to, że Ministerstwo i tak zachowa się "po swojemu". Argumenty o prestiżu zawodu nauczyciela wygrażą z matematyką wskazującą na duży deficyt środków po stronie powiatów i gmin. Ten - jak wynika z niektórych wypowiedzi prasowych - nie jest jednak zauważalny. Wciąż zdarza się słyszeć krzywdzące zarzuty, z których wynika, że samorzady mają pod dostatkiem pieniędzy, ale zamiast na oświatę i wynagradzanie nauczycieli, wydają je na drogi. W jednym z wywiadów udzielonych w lutym br. minister Nowacka stwierdziła, że choć samorzady mają ograniczone budżety, to muszą pamiętać o priorytetach, zaś rolą minister jest przypomnienie o priorytecie edukacji. W ostatnich dniach uzasadnione i zabezpieczające interesy obydwu stron propozycje środowisk samorządowych zostały nazwane "sztucznym liczeniem godzin". W tej samej wypowiedzi minister podkreśliła, że nie zgadza się na postulaty racjonalnego liczenia, ponieważ "nauczyciele są jak skarb". Nie przeczymy. Ale skarb kosztuje - bez tego nie byłby skarbem. Ktoś musi zatem zapłacić, a problem polega na tym, że na razie nie jest to państwo.

Negocjacje w oparach absurdu

Samorządowcy powtarzają to niemal nieustannie - nie jesteśmy przeciwko nauczycielom. Obowiązkiem jest realizacja licznych zadań nałożonych mocą ustaw i rozważne gospodarowanie niejednokrotnie skromnymi budżetami, dzieląc grosz między oświatę, ochronę zdrowia, pomoc społeczną oraz - tak bardzo wypominane - infrastrukturę i transport. Potrzeba prawidłowego i racjonalnego działania prowadzi ku nowym pomysłom i propozycjom, które nie biorą się znikąd, lecz próbują zaspokoić zróżnicowane wymagania.

Wygląda jednak na to, że uzasadnione prawnie i logicznie propozycje kompromisu uznaje się za

Samorządy przeciwko nauczycielom? Narracja MEN a suche fakty

Kategoria: Felietony

Opublikowano: czwartek, 16, kwiecień 2026 12:35

Piotr Majoch

Odśłony: 842

niedorzeczne "sztuczne liczenie", a podwójne czy potrójne wynagradzanie obciążające małe budżety już absurdem nie jest. Ale to pozostawiamy do oceny Czytelnikom.

Nawiasem mówiąc, czy ktoś w ogóle pochylił się głębiej nad słynnym orzeczeniem SN, które otworzyło tę "puszkę Pandory"? Czy ktoś zechciał zapoznać się z fabułą sprawy zakończonej uchwałą Sądu i zauważyć, jak ekstremalnego przypadku obciążania nauczyciela dotyczyła ta sprawa, niedająca się porównać do normalnych praktyk w tym zawodzie? Śmiem wątpić. I - mając na uwadze postawę MEN - wyrazić przekonanie, że prawda, o jaką walczymy, wcale nie leży pośrodku. Przynajmniej w tej sprawie. Leży tam, gdzie kończy się polityka, a zaczyna logika.